

Zeznanie Cartera Den Helle

Krąg Vendariona: Początek

Autor: Piotr Grochowski

Carter Den Helle zmarszczył nos, spojrzął w górę, naciągnął na głowę kaptur sztormiaka i ruszył przed siebie, szybko, starając się nie trafić w kałuże. Dystans od zadaszonego straganu do wozu patrolowego był niewielki, ale lało niemiłosiernie. Niebo płakało nad miastem, a powodów smutku było zapewne wiele. Memoria, największa metropolia w Północnej Vendarii była miejscem mrocznym, grzesznym i pełnym nienawiści. Miasto przekłęte, zapomniane przez dobry los – koszmar każdego stróża prawa.

Chociaż, Den Helle zastanowił się i mimowolnie uśmiechnął, byli i tacy strażnicy, którzy los, dobry czy zły, mieli po prostu gdzieś. Pewnie i wiele innych spraw nie obchodziło ich wcale. Ot, taki Maric. Starszy dziesiętnik Gordon Maric, dwudziesty szósty rok w uniformie Vendaryjskiej Służby Publicznej, nadal w tym samym stopniu. Kiedyś twardy, czujny ogar. Dzisiaj zgarbiony, otyły i mrukliwy, ze stęzionymi kłami, zmysłami odurzonymi zieleń i mocnymi naparami mieszanymi z alkoholem. Przeszedł bez szwanku służbę w jednej z najemnych kompanii podczas Wojen Słonecznych, a w trzydziestym siódmym, już na strażniczej służbie w Memorii, jakiś parszywy szczeniak wsadził mu dwie kule w bok. Gordon Maric - weteran, stary wyga. Takim zawsze przydzielają młodzików, jak Carter. Mówią: „by się uczyli przy boku doświadczonych funkcjonariuszy”. Myślą: „przecież tym starym zawsze przyda się ktoś do noszenia słodkich placków i czarnego naparu”. Jakie czasy, takie życie. Na kontynencie mawiają coś o losie i cesarzu, przypomniał sobie Den Helle, akurat w momencie, gdy znalazł się obok czarnego wozu patrolowego. Na drzwiach, które uchylił mu partner, błysnęła wymalowana białymi literami nazwa jednostki: „Piąta Setnia Dzielnicy Portowej” oraz schematyczny znak straży – tarcza i dwa miecze.

– Tym razem się udało? – mruknął Maric i mocno wciągnął powietrze, delektując się aromatem naparu. Zabrał Carterowi zakupy, pobieżnie zajrzał do torebki z ciastem a potem ostrożnie otworzył przykrywkę kubka. – No widzisz? Tym razem to jest napar. Ten zapach – słoneczne wzgórza Vinantium i skaliste wybrzeże Metinny.

– Jest pan pewien? – Den Helle przekrzywił głowę, jednocześnie odpakowując zawiniątko ze słodkim plackiem w środku. – Napar robią także w Vendarii.

– Cóż za bzdury – Maric siorbnął i cmoknął z uznaniem. – To coś, co przeciętny człowiek nazywa po prostu czarnym naparem, ma wiele odmian. I faktycznie ziola zbiera się także u nas, ale to nie to samo. Prawdziwy aromat, faktyczny smak, ten najlepszy, mają tylko napary ze składników sprowadzanych z Kontynentu. Koniec i kropka, a Vavro Salla ma

zawsze najlepiej przyrządzony towar. Jest klasycznie, zawsze tak samo smacznie i ze zniżką dla funkcjonariuszy straży.

– Dlatego to stały punkt naszej trasy – skwitował Carter. Mówił dosyć niewyraźnie, z pełnymi ustami. – A może, gdyby...

Nie dokończył. Zgrzytnęło przeraźliwie i huknęło. Zatrzęsła się ziemia. W przednią szybę samochodu łupnęło kilka kamiennych odłamków. Maric przeklinał gorący, rozlany na kolana, napar. Deszcz nieprzerwanie tłukł o karoserię – na zewnątrz niewiele było widać: blask ulicznych lamp, prostokątne plamy światła w oknach kamienicy. Den Helle wciągnął powietrze w płuca i odruchowo, nie czekając na jakiegokolwiek instrukcje starszego kolegi, wyskoczył z wozu.

Dał się słyszeć świst i coś niby dźwięk syreny alarmowej, ale przytłumiony jakby dochodził spod ziemi. Tuż po tym ściana mieszkalnego budynku po lewej stronie eksplodowała. Carter starał się otrzeć mokrą twarz. Wewnątrz budynku coś się poruszało, coś wielkiego. Po pustej ulicy poniósł się terkot i dźwięk przypominający dzwonienie łańcuchów. O jezdnię uderzyły potężne odłamki. Jeden trafił w tył wozu patrolowego, unosząc w górę jego przednią część.

„Maric”, jęknął w duchu Den Helle, ale było już za późno na pomoc. Kolejne części rozpadającego się budynku zasypywały okolicę. Młodszy strażnik zerwał się do biegu, starając się unikać odłamków łupiących w ziemię wszędzie dookoła. Pędził przed siebie i zatrzymał się dopiero za rogiem kolejnego mieszkalnego budynku. Spojrzał przez ramię. Wóz patrolowy, jakimś cudem nie został trafiony więcej razy. Obok samochodu strażników stał teraz stwór, który zniszczył kamienicę.

Wielki wrzecionowaty korpus, jakby „odwłok”, unosił się dwa, trzy metry nad ziemią, wspierany przez cztery, a może pięć metalowych odnóży. W górze poruszały się „macki” – kawałki metalu zawieszane w emanującej światłem zielonkawej mgle, lub czymś, co bardzo ją przypominało. Den Helle zakaszlał i wytrzeszczył oczy. To co widział było przerażające i fascynujące zarazem.

Odnóża zaklekotały o podłoże. Mechaniczna bestia, przy wtórze odgłosów sapania, wypuściła na zewnątrz obłoki zielonkawej pary, uniosła dwie spośród wielu macek i trafiła nimi w dach wozu patrolowego. Czarny samochód zawisł kilka metrów nad ziemią, po czym został ciśnięty z ogromną siłą, dokładnie tam, gdzie stał Den Helle. Do uszu strażnika, zza jego pleców, dobiegł warkot silnika. W kierunku stwora mknął motocykl, mijając właśnie pozycję Cartera. Jeździec, na plecach którego łopotał długi czarny płaszcz, sprawnie uniknął zderzenia z lecącym weń wozem patrolowym i pomknął prosto w stronę potwora. Samochód trzasnął w narożnik kamienicy, zmieniając się w kawał poskręcane metalu.

Carter Den Helle dopadł do wraku, próbował dostać się do środka. Odnalazł charakterystyczny znak widniejący na drzwiach. Szarpnął, ale nie zdołał nic zrobić. Dookoła jego nóg rosła kałuża – czern i czerwień rozmywane przez lejącą się z niebios wodę.

Czarny Napar. Krew. Deszcz.

Vendaryjska Agencja Bezpieczeństwa, Dystrykt Północny, Memoria, 2.10. 60.

Działania operacyjne. Przesłuchanie i ustalenie faktów odnośnie zdarzenia DS-45/KP-1/61. Klauzula: Ściśle Tajne. Poziom piąty. Akta osobowe: Carter Den Helle. Funkcjonariusz Vendaryjskiej Straży Publicznej, w stopniu młodszego dziesiątnika. Trzeci rok służby. Przydzielony do wydziału patrolowego, 5S Port. Lat 27. Żona i dzieci: brak. Rodowity Vendaryjczyk, bez wątpliwych prawnie powiązań. Rodzice: nie żyją. Nie odnotowano uchybień, skarg lub doniesień. Przebieg służby: bardzo dobry. Ocena psychologiczna: pozytywna. Przesłuchanie prowadzą agenci śledczy z lokalnego biura VAB: Saul Becker i Rennard Ber Albee.

Agent specjalny Brion Kroeger rozejrzył się. Pokój kontrolny urządzone był ascetycznie: białe puste ściany, długi stół zastawiony sprzętem nagrywającym, dwa wielkie głośniki, trzy krzesła z twardymi oparciami i olbrzymia kwadratowa lampa zwisająca z sufitu. Przestrzeń wypełniały dźwięki – przede wszystkim trzeszczące głosy rozmawiających. W przerwach między pytaniami i odpowiedziami płynącymi z głośników, słuchać było szum szpul rejestrujących przesłuchanie, bzyczenie wentylatorów i delikatne buczenie dobiegające z lampy. W pomieszczeniu, poza Kroegerem, znajdowało się jeszcze dwóch ludzi: technik obsługujący sprzęt i agent specjalny Max Lidhman.

Za venantyjskim zwierciadłem widać było pokój przesłuchań, również biały. Dwaj śledczy w idealnie skrojonych marynarkach czarnego koloru wykonywali swoją robotę. Jeden pytał, drugi słuchał i bacznie obserwował.

– Wyglądają jak cholerne bliźniaki, co? – zagadał Brion, zwracając się w przestrzeń.

Technik nie odrywał się od swojej pracy, miał na uszach słuchawki, więc pewnie po prostu nie usłyszał pytania. Max Lidhman mrugnął i zmarszczył czoło, ale nie odpowiedział.

– Wszyscy śledczy z безпеکی wyglądają tak samo – Brion odezwał się ciszej, właściwie do samego siebie.

– Cóż, tak właśnie mają wyglądać, by nie rozpraszać odpytywanego – mruknął Lidhman. Jego głos był niski i chropowaty. – Nudzi to pana, agencie Kroeger?

Brion uniósł jedną brew.

– Pana nie? Bo ja cały czas zastanawiam się, po jakie lichy ściągałicie mnie na te północne pustkowia?

– Mieszkańcy wspaniałego miasta Memoria nie wybaczyliby panu takiego zwrotu. – W głosie Lidhmana zabrzmiała delikatna nutka rozbawienia.

– Chyba nie żebym wysłuchiwał bajek o straszliwych potworach niszczących kamienice. I to potworach z „mackami”... – Brion nie przestawał drwić.

– To nie urojenia, to robota trepów – mówiąc to Lidhman machnął ręką, jakby ze zniecierpliwieniem.

Brion Kroeger otworzył szerzej oczy. Drugi agent spojrzał na jego twarz i wyjaśnił:

– No bestia, ta z „odwłokiem” i „świecącą mgłą”. To mechanizm stworzony przez armię. Naszą. Mają oddział, zajmujący się takimi ustrojstwami – mówiący po raz kolejny machnął ręką. – Ale to nie jest ważne...

– Jak to? Wojsko buduje...

– Agencie Kroeger... – ton głosu Maxa Lidhmana zmienił się nieprzyjemnie – ... powtarzam, to nie jest ważne. – Następnie głos złagodniał. – Po prostu proszę posłuchać... Proszę skupić się na tym, co zeznaje dziesiątnik Carter Den Helle.

Brion zmrużył oczy i posłusznie spojrzał na szklaną ścianę, oddzielającą pokoje. W części dla przesłuchiwanego drobny jasnowłosy mężczyzna ubrany w szary uniform strażników kontynuował swoją opowieść.

Na początku było ich dwóch. Dwóch ludzi przeciwko maszynie. Motocyklista i człowiek-upiór. Carter wychylił się zza wraku i obserwował toczące się wydarzenia, wciąż nie mogąc uwierzyć oczom.

Kierujący motorem gnał prosto na potwora. W prawej ręce trzymał jakąś broń. „Włócznia”, pomyślał na początku Carter. „Nie”. Metalowe drzewce zakończone było trzema ostrzami. Te dotykały jezdni i krzesły iskry. Strażnik otarł twarz, deszcz zalewał mu oczy. Dookoła broni kumulowały się wyładowania elektryczne niczym miniaturowe błyskawice.

Pobłyskujące zielenią macki próbowały trafić nadjeżdżającego, ale były zbyt wolne. Zresztą równocześnie z motocyklistą, stwora atakował drugi śmiałek. Początkowo Carter nie dojrzał go. Nieznajomy był jak upiór, jak zjawą. Pojawiał się od czasu do czasu, szybki i nieuchwytny. Jego sylwetka rozmywała się, był na pół realny. Ubrany w ciemny uniform, z czymś na kształt długich pałek w dłoniach, poruszał się pomiędzy odnóżami mechanicznego stwora. Uderzał w nie raz za razem, ale nie czynił im większej krzywdy – zdecydowanie jednak zajmował bestii czas – rozpraszał jej uwagę.

Motocyklista przejechał tuż obok potwora i w przelocie wbił broń w jego korpus. Trzasnęło. Z nieba spadł piorun, nieregularnym zygzakiem sięgnął celu – miejsca gdzie utkwiał metalowy trójząb. Stwór zachwiał się, odnóża wygięły się i zaczęły ślizgać. Utrzymał jednak równowagę. Kierujący motorem był już z drugiej strony, Carter nie widział dokładnie, ale zdawało mu się, że motocyklista zawraca.

Mechaniczna bestia zawyła i zaterkotała, wypuszczając olbrzymie ilości zielonkawej pary. Jej odwłok poczerniał w miejscu trafienia. Trójząb znikł. Był już w dłoni motocyklisty, który szykował się do kolejnego ataku.

– To Jeździec Burzy, tak go nazywają – wyjaśnił Lidhman.

Brion Kroeger spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Cholera wie, kto wymyślił to bzdurne miano. Wiemy za to, że Jeździec w jakiś przedziwny sposób włada energią elektryczną. To ma związek z jego bronią...

– Trójzębem, a jeśli wierzyć dziesiętnikowi, dodatkowo znikającym – przerwał mu Brion. – To nie jest zwykły trik, i nie wytwarza się takiej broni... chyba, że wspomniane „tropy”...

– Nie – uciął agent Lidhman. – To druga strona barykady. To Zamaskowani.

– Tak ich nazywają? – Zdumiał się Brion. – Co jest grane? O kim w ogóle mówimy?

– Następny to Zjawa, albo Ułuda. – Drugi agent kontynuował nie odpowiadając na pytania. – Czasem mówią na niego Pan Upiór. Potrafi znikać, zanotowano nawet „przenikanie przez ściany”.

– Macie notatki o „Zamaskowanych”. Agencja prowadzi dochodzenie? Nie bardzo rozumiem, co ja tu robię...

– Pana dotychczasowa służba to jedno, agencie Kroeger – Lidhman uśmiechnął się lekko. – Zwalczanie zorganizowanej przestępczości, porwania i tym podobne, stanowią istotny wkład w bezpieczeństwo publiczne. Jednakże nasza sytuacja w Memorii to równie ważna sprawa. Interesują nas raczej pańskie dokonania naukowe. Pisał pan prace akademickie z dziedziny...

– Historii i kulturoznawstwa – przerwał mu Brion – ale niby jak...

– Proszę posłuchać dalej, połączyć fakty, użyć swojej wiedzy. Wszystko, mam gorącą nadzieję, stanie się jasne...

Carter Den Helle nie potrafił tak do końca zrozumieć dlaczego w niezwykłym starciu kibicował zamaskowanym nieznajomym. Nie wiedział kim są ci ludzie, nie rozumiał sensu ich walki, nie potrafił zidentyfikować ich przeciwnika. Jakoś tak podświadomie, jak sądził, po prostu trzymał kciuki za ludzi walczących z bestią, z przerażającym mechanicznym potworem.

Niestety, tuż po pierwszych celnych trafieniach, gdy zdawało się, że nieznajomi uzyskują przewagę, bestia skontrowała. Dał się słyszeć syk, a z korpusu trysnęły strumienie zielonkawej cieczy. Ulicę wypełnił szlam, jakaś gęsta breja. Motocyklista właśnie wyprowadzał kolejny cios trójzębem, dookoła pełzały pajęczyny wyładowań elektrycznych. Mężczyzna nie zdołał utrzymać równowagi, pojazd przewrócił się na bok, broń trafiła w pustkę a piorun sprowadzony z nieba trzasnął w budynek z lewej strony. Jednocześnie, choć Carter tego akurat nie widział dokładnie, półprzezroczysty człowiek – zjawa ratował się ucieczką, potykając się i przewracając raz za razem na śliskim podłożu.

Przegrywali, ale jak się okazało, nie byli osamotnieni. Z chrzęstem miążdżonego metalu, w jedną z mechanicznych kończyn coś uderzyło. Odnóże zostało oderwane – bestia zachwiała się. To, co Carter wziął początkowo za ogromny pocisk, okazało się dużą prostokątną tarczą trzymaną przez człowieka. Kolejny z zamaskowanych śmiałków podnosił się właśnie z przysiadu, poprawiając umocowanie oręża. Tak właśnie – oręża. Carter zawsze myślał o tarczy, o tym zresztą wspominał kodeks straży publicznej, jako o „osłonie”. Był pewien, że „do walki służyły miecze”. Teraz już wiedział, że nic nie jest pewne. Tarczownik pojawił się niespodziewanie, zaatakował szybko i precyzyjnie, jakby potrafił błyskawicznie się przemieszczać. Carter nie pojmował tego, ale patrzył jak urzeczony.

Dwie macki próbowały sięgnąć zuchwalca trzymającego tarczę. Zastłona okazała się skuteczna, ciosy żelaznych pazurów, wieńczących końce zielonkawych ramion bestii, nie zdołały uszkodzić tarczy – zaiskrzyło tylko przy ataku. Podobnie było, gdy stwór wyprowadził kolejny atak. Znow cios i blokada. Tak po prostu, a potwór dysponował przecież ogromną siłą, Carter był tego świadom ilekroć spojrzał na wrak patrolowego samochodu.

Macki uniosły się raz jeszcze, ale właśnie w tym momencie bestią szarpnęło. Ogromny kawałek gruzu, niczym kamienna kula, grzmotnął w jej odwłok, miążdżąc przy okazji dwie kończyny. Potwór osunął się na jezdnię w kłębach pary, terkocząc i wyjąc. Carter szukał wzrokiem miejsca skąd wystrzelono „pocisk”, ale nie był w stanie go zlokalizować.

Z nieba została sprowadzona kolejna błyskawica – to motocyklista znow dźgnął swoim orężem. W jasnym rozbłysku widać było mężczyznę dzierżącego broń, rosteo, odzianego na czarno, w długim obszernym płaszczu, z nakryciem głowy o dziwacznym wyglądzie. Nie był to zwykły kask, ale połyskujący srebrem hełm – jakby antycznego wojownika.

Bestia nie była jednak pokonana. Wydawała buczące odgłosy i trzęsła się, przy kolejnych atakach. Trafił ją jeszcze jeden solidny kamienny odłamek, a motocyklista ściągnął kolejny piorun.

Wtem błysnęło oślepiające błękitne światło, które zalało całą okolicę. Carter słyszał, poprzez ulewę, nawołujących się zamaskowanych: ich przekleństwa i wrzaski. Bestia wstawała, pomagając sobie mackami. Kolejne metalowe kończyny wydobywały się z jej korpusu, rozkładały się, rosły. Błękitna poświata emanowała z wielu lamp-otworów w jej ciele. Potwór terkotał i grzmiał syreno-podobnymi dźwiękami. Jakby właśnie zdobył nowe siły, a napędzała go wściekłość.

Carter Den Helle zrozumiał to dopiero teraz – tego stworzenia nie dało się pokonać, nie dało się go powstrzymać. Strażnik, choć sam nie brał udziału w walce, poczuł gwałtowny strach...

– I jak, agencie Kroeger? – Max Lidhman zmrużył oczy. Za venantyjskim lustrem widać było, jak przesłuchiwany pije wodę na moment przerywając swoją opowieść. – Coś panu świta?

Młodszy funkcjonariusz wydawał się rozkojarzony. Chyba próbował to sobie ułożyć w głowie, zrozumieć system i, jak w gomeoszańskiej łamigłówce, znaleźć pasujące do siebie fragmenty. Ale opowieść dziesiętnika Den Helle była po prostu zajmująca. I rozpraszała. Cóż, Lidhman słyszał ją już pobieżnie, przy wstępnym zebraniu informacji. Nic nowego, ot walka Zamaskowanych z wojskowym projektem. Co prawda wcześniej te dwie strony nie wchodziły sobie w drogę w tak spektakularny sposób – zniszczeniu uległo kilka kamienic, a ukręcenie łba sprawie zajęło VAB dobę. I tak pojawiły się przecieki, pozostawało czekać na materiał w prasie, może i w radiu.

Brion Kroeger był szczupłym, ciemnowłosym południowcem. Pochodził z okolic Pyros, w jego żyłach, na co wskazywała ciemna karnacja, płynęła krew Złotych Pielgrzymów. Gdy myślał intensywnie, pocierał kciukiem o palec wskazujący. Osobiście Lidhman i Kroeger poznali się dopiero wczoraj, na pokładzie liniowego sterowca ze stolicy, ale agencja przypatrywała się zdolnemu pracownikowi od dłuższego czasu – szczególnie w kontekście dochodzenia związanego z Zamaskowanymi. Lidhman wiedział na temat swojego nowego podwładnego bardzo dużo.

– Mam pewną teorię – powiedział Kroeger. – Ale póki co nie chciałbym narazić się na złośliwe uwagi. Co wiemy o tarczowniku?

– Hmm, niezbyt wiele – mruknął Lidhman. – Nosi drewnianą zdobioną maskę i nazywają go po prostu Tarczownikiem. Pojawił się, ujmiemy to „publicznie”, jako jeden z

pierwszych... Jego tarcza jest wedle naszych danych całkowicie niezniszczalna i może przybierać różne formy.

– Jak udało mu się zaatakować bestię? Den Helle też się nad tym głowił...

– Praca zespołowa. Atak drużyną.

Kroeger spojrzał pytająco.

– Dziesięćnik pewnie zaraz do tego dojdzie. Ja mogę uchylić rąbka tajemnicy, już teraz – Lidhman uśmiechnął się półgębkiem. – To sprawka kolejnego. Zwań go Kamiennorękim. Nosi skórzane rękawice, dzięki którym jest zdolny do naprawdę niezwykłych czynów. Uderza bardzo mocno, ale i ciska dowolnymi rzeczami, kawałkami budynków dla przykładu...

– I swoimi towarzyszami również?

– Otóż to – potaknął Max Lidhman. – Jak wspominałem: „atak drużynowy”.

Rozpętało się piekło. Deszcz ani trochę nie zelżał. Trzej ludzie próbowali walczyć, ale ich ataki nie skutkowały. Współpracowali jako zespół, ale nie przynosiło to, jak sądził Carter, zamierzonych efektów. Człowiek-zjawa pojawiał się co chwilę, próbując zmylić bestię. Motocyklista ze srebrnym trójzębem ciskał piorunami, a tarczownik osłaniał go i parował ciosy macek. Do walki przyłączył się czwarty: mężczyzna ubrany w ciemną kurtkę, w kapeluszu i ochronnych goglach. Jego atutem była walka pięściami. W jakiś sposób, posiadał wprost niewyobrażalną siłę. Unosił z ulicy duże kawałki gruzu i rzucał nimi w potwora, rękami po prostu oderwał mu jedną z kończyn.

Bestia jednak nie poddawała się. Raz jeszcze wypuściła z siebie zielonkawy szlam, rozpyłała wokół kłęby mgły i rozdawała ciosy mackami. Fasada kolejnego mieszkalnego budynku została zniszczona. W górę poleciały kamienne odłamki. Drżała ziemia, świst mieszał się z mechanicznym buczeniem i terkotaniem. Gdzieś w oddali Carter słyszał dźwięk strażniczych syren.

Wtedy, na końcu ulicy, pomiędzy zniszczonymi samochodami, na gruzowisku, pojawił się kolejny ze śmiałków. Biegł. Biegł i krzyczał. Wył, wywijając nad głowę dziwną bronią. Carter widział coś podobnego w memoriańskim muzeum historycznym – kawałek łańcucha z solidną, trzymaną oburącz rękojeścią. Na końcu żelaznych ogniw umocowana była kula świetlnej energii. Błyskało czerwienią, a mężczyzna rysował w powietrzu szerokie okręgi – światło zostawiało za sobą niezwykle smugi. Nieznajomy nosił uniform, trykot przypominający te z Ligi Wolności, kolorowy, żółto-czerwony, z wymalowaną na piersi cyfrą sześć. Twarz zasłaniała mu maska, oczy były chronione przez olbrzymie gogle.

Pierwszym ciosem nie trafił w korpus bestii, ale z niebywałą łatwością przeciął próbujące go dosięgnąć macki. Kawałki metalu poleciały we wszystkie strony, wirując z ogromną prędkością. Wokół uniosły się zielonkawe opary. Pozostali zamaskowani rozpięchli się. Carter słyszał ich pojedyncze krzyki: „Czekaj!”, „Psiakrew!”, „Stój!”. Uciekali od bestii, a może od człowieka dzierżącego świetlną broń.

Ten zawył po raz kolejny i szarpnął. Łańcuch, posłuszny jego woli, ściągnął kulę dokładnie w cel. Smuga czerwonej, oślepiającej energii trafiła w odwłok potwora. Rozległ się chrzęst, syk i zapadła cisza. Serce Cartera Den Helle uderzyło jeden raz. Potem doszło do eksplozji.

Strażnik stracił wizję, przed oczami miał żółto-czerwoną poświatę. Czuł na twarzy żar, jakby od ognia, w nozdrza gryzł go dym. Przewrócił się i plasnął w jedną z kałuż. Zaklął i zasłonił głowę ramionami.

– I to by było na tyle – rzekł Lidhman. – Później był otumaniony. Niewiele pamięta. Jakieś słowa, pojedyncze obrazy. – Spojrzał na Briona unosząc brew. – Co z pańską teorią?

– Nadal nie jestem pewien, ale coś muszę powiedzieć, prawda?

– Vendaria panu płaci, agencie Kroeger. Byłoby miło...

– To cholerni naśladowcy – zawyrokował Brion. – Z drugiej strony ich przedmioty, te artefakty, wydają się tak realne... Zakładając, że Den Helle tego wszystkiego sobie nie wymyślił...

Lidhman pokręcił głową.

– Naśladowcy?

– Przecież wie pan do czego zmierzam. Ściągnęliście mnie tutaj, bo napisałem tych kilka prac. Wtedy śmiano się ze mnie. Praktycznie nazywano mnie fanatykiem. Były nawet jakieś donosy do władz.

– Oj, nie przesadzajmy. Po pierwsze, nie tylko pana wiedza i teorie zdecydowały o przydziale do mojego zespołu. Jest pan wybitnym śledczym, bardzo dobrym detektywem i analitykiem. Ma pan wyniki. Po wtóre, zebrane przez pana materiały i ich opracowanie posłużyły krajowi, nikt nie zamierzał pana karać. Trzeba znać swojego wroga, trzymać go blisko.

Brion zmrużył oczy, próbując nadażyć za tokiem rozumowania starszego agenta. Lidhman kontynuował:

– Wracając do głównego wątku. My również uważamy ich za naśladowców, choć wolę osobiście określić: „kontynuatorzy”.

– Kilka rzeczy się nie zgadza, nie pasuje.

– Jakich, na przykład?

Brion sięgnął w głąb swojego umysłu, przed oczyma przeleciały mu obrazy i symbole. Widział archiwalne fotografie, przypominał sobie dokumenty. Wyobrażał ich sobie – niezwykłych żołnierzy. Obrońców ojczyzny, która gardziła nimi, ale bardzo ich potrzebowała. Byli zaprzeczeniem wszystkich vendaryjskich zasad, praw i ideałów. Mówiło się, że wykorzystywali Mrok do walki z Nim. Cieszono się z ich sukcesów, ale nie rozgłaszano ich publicznie. Szwadron rotmistrza Vendariona. Nikt nie potrafił zidentyfikować tego człowieka – ich dowódcy. Protestowano, ale w końcu pozwolono mu na noszenie miana wprost symbolizującego ojczyznę. Był patriotą, bez wątpienia. Ale był także dzierżącym Sztandar – przeklęty kawałek zielono-błękitnego płótna, czyniący żołnierzy walczących pod nim nieugiętymi, niezwycięzonymi, nieśmiertelnymi. Szwadron liczył ponad setkę ludzi, lecz najistotniejszy był Krąg, sekcja uderzeniowa nazywana Kręgiem Trzynastu. Śmiałkowie dzierżący zaklętą broń, czarodziejskie przedmioty, artefakty. Zawsze na pierwszej linii walki z Czarnym Legionem Craniosa. „Odmieńcy, potwory, słudzy tajemnych sił”, Brion przypominał sobie co o nich mówiono. Ale pamiętał także inne określenia: „nasi czarodzieje, obrońcy trwający w cieniu, wyklęci bohaterowie”.

– Tarczownik i Kamiennoręki widzieli bombardowanie Konstanzy, przeszli całą żelazną kampanię, od lądowania w Yel, aż do Bersud, uwalniali generała Kinsella. Ich naśladowcy mają te same możliwości, musieli w jakiś sposób zdobyć władzę nad tymi samymi przedmiotami. – Brion mówił wolno, cały czas zastanawiając się. – Zjawa była kobietą, Vendarion skaptował ją już pod koniec wojny, w siódmym roku. Ale Den Helle nie pomylił się, prawda?

– Nie. Współczesny Pan Upiór to zdecydowanie mężczyzna. Ale prawdopodobnie także włada Całunem, potrafi to samo, co jego poprzedniczka.

– Podobnie ma się kwestia człowieka z trójzębem. Oryginalnie tę broń i moce z nią związane posiadała Burzowładna, pierwsza kobieta w armii ze stopniem oficerskim.

– Pośmiertnie, jeśli dobrze przeczytałem? – wtrącił Lidhman.

– Tak, przyznano go na jej pogrzebie, po unicestwieniu Czarnej Floty w cieśninie Bann Merenge.

– Jedna istota zdołała zatopić sześć okrętów liniowych...

– Słuchały jej woda, niebiosa i wiatr – dodał Brion.

Lidhman pokiwał głową i mruknął.

– Proszę sobie uświadomić, biorąc pod uwagę to, o czym właśnie rozmawiamy, jak niebezpieczni to osobnicy, nawet jeśli nie posiadają pełni mocy swoich poprzedników.

– Nie posiadają?

– Nie wiemy. Mamy nadzieję. Oby...

Brion postukał palcem wskazującym w górną wargę.

– Ten z kulą na łańcuchu. To się nazywa... korbacz, prawda?

– To kadzielnica.

– Słucham?

– Taki przyrząd rytualny, używany w świątyniach. Zwykła, zawierała wonną substancję, którą podpalano. Tworzył się dym wykorzystywany – Lidhman szukał słowa – religijnie.

– To broń... – zaczął Brion.

– Bezsprzecznie – zgodził się drugi agent. – Kadzielnica Wesołego Pokutnika to cholernie skuteczna broń, używa jakiegoś rodzaju energii. Wybuchą, czasami truje, wywołuje rozkojarzenie. Różnie.

– Co to za miano?

– Cóż, jak już wspominałem, nie my je nadajemy. My mamy swoje oznaczenia w aktach. Określenie „Wesoły Pokutnik” pojawiło się po raz pierwszy w jednym z wydań „Strażnika Memorii” – Lidhman wypowiedział nazwę wolno i wyraźnie. – To poczytny dziennik.

– Tego „Pokutnika” nie było w Kręgu Trzynastu.

– Nie. To zupełnie nowy Zamaskowany. Nie można go przyporządkować do „kontynuatorów”. Badamy to...

– Przy okazji.. – Brion uśmiechnął się gorzko. – ... nie kontrolujemy prasy? Pozwalamy im pisać o Zamaskowanych? Co z cenzurą?

Max Lidhman westchnął, odszukał w wewnętrznej kieszeni marynarki metalowe pudełko i wyciągnął zeń papierosa. Zapalił go i odparł:

– Widzi pan, agencie Kroeger, w Memorii te sprawy wyglądają inaczej, niż gdziekolwiek w Vendarii. Rada miasta jest, nazwijmy to, postępową. Biznes stara się być niezależny od władz. A nasze możliwości, mam na myśli bezpieczeństwo, są ograniczone. Pozna pan specyfikę pracy na „północnych pustkowiach”.

Starszy agent powtórzył gorzki uśmiech Briona sprzed chwili i wypuścił dym.

– Co teraz?

– Teraz najważniejsza jest równowaga. Zrównoważenie szybkiego i rozsądnego działania. Wytropimy ich i dopadniemy. – W głosie Lidhmana zabrzmiała determinacja. – Są zagrożeniem. Używają zakazanych rzeczy, łamią zasady, które legły u podstaw naszego współczesnego społeczeństwa. – Mówiący przerwał i dodał innym, lżejszym tonem: – Pana wiedza będzie cennym uzupełnieniem zespołu.

– Jaka jest skala ich działań? Ilu ich jest?

– Wiemy o tej piątce. Tu w Memorii. Na terenie Vendarii nikt więcej się nie ujawnił. Nasze biura propagandy działają dosyć konkretnie – „co memoriańskie, pozostaje w Memorii” – obywatele, poza tą metropolią, niewiele wiedzą. Może jakieś plotki, pogłoski.

Zresztą sami Zamaskowani niespecjalnie chcą wyjść z ukrycia. Na Kontynencie namierzyliśmy dwa miejsca; sądzimy, że to ktoś podobny do „naszych”.

Brion Kroeger głęboko zaczerpnął powietrza. Jego wzrok powędrował w kierunku Cartera Den Helle. Dziesiętnik zakończył swoją opowieść, śledczy dopytywali go jeszcze o pojedyncze szczegóły. Przesłuchiwany był zmęczony, poszarzały na twarzy.

– Co z nim? Chciałbym zadać mu kilka pytań.

Lidhman potaknął.

– Jasne. Jest do pana dyspozycji, agencie.

– A potem?

– Nie rozumiem...

– Co stanie się z nim później, gdy to wszystko się skończy?

Brion spojrzał na swojego nowego szefa. Max Lidhman, wysoki, postawny, o włosach lekko przyprószonej siwizną, zapewne wciąż podobający się kobietom, wzruszył ramionami. Po chwili wyjaśnił:

– Będziemy go trzymać tak długo, jak to będzie konieczne. Wyciągniemy z niego wszystko, a potem – mówiący wydmuchał dym wypychając dolną wargę – musi zamilknąć, zniknąć. No, jak to w tej robocie bywa...

Lidhman wyłączył komunikator. Przez dłuższą chwilę spoglądał na średniej wielkości głośnik, z którego jeszcze przed momentem słychać było nieskładne zeznania Cartera Den Helle. Potem agent przyjrzał się swoim notatkom, które sporządzał na bieżąco. Podkreślił kilka najważniejszych kwestii. Uniósł dłoń i sięgnął po słuchawkę. Zaterkotało, gdy wybierał numer.

– Betts, połącz mnie z pokojem agenta Kroegera – mruknął do telefonu.

Czekając odpalił kolejnego papierosa. W słuchawce trzasnęło, telefonistka zapewniła, że połączenie zostało nawiązane. Pozostało czekać.

– Kroeger – zabrzmiało w słuchawce. Było naprawdę późno, lub jak kto woli, bardzo wcześnie. Mówiący miał trzeźwy głos, pewnie jeszcze nie położył się spać.

– Den Helle złożył kolejne zeznanie. Przypomniawszy sobie kilka rzeczy. To raczej istotne.

– Zaraz będę.

– Proszę – Lidhman szukał słowa – bardzo uważnie go wysłuchać. Ja sam do końca nie wiem, co o tym myśleć, ale niech pan uważa. Ufam panu.

– Jak mam to rozumieć?

– Musimy, tak sądzę, poukładać to wszystko w należyтым porządku. Rozważnie.

– Tak jest...

– To anarchiści. – Lidhman uniósł brodę. – Mam na myśli Zamaskowanych. To nasi potężni wrogowie. Ale myślę, że oni nie są naszym jedynym problemem.

Carter Den Helle klęczał na mokrej jezdni, pomiędzy kawałkami gruzu. Słyszał szum deszczu, czuł go na twarzy. Gdzieś z oddali brzmiały syreny. Ktoś krzyczał. Jak przez mgłę, dziesiętnik zaczął rozpoznawać otoczenie. Jakiś człowiek pochylał się nad nim. Mówił niewyraźnie, opuszczając co drugie słowo:

– Odzyskaj ... go żywy trupie... Trzymaj ... go mocno... Jest twój, do ciężkiej...

Przyłączył się inny głos:

– Zamknij... masz prawa... Bredzisz...

– Kto jak... prawdy? Bronisz ... prawdy? Nawet jemu? – znów bełkotliwie wypowiedział się ten pierwszy.

– Za wcześnie... Nie masz prawa...

– Mam głos... Teraz ... i oni będą mieli...

– To strażnik...

– Właśnie, żywy strażnik. Pies reżimu... Niech... wiadomość. Nasze przesłanie...

– Nasze? Zamilcz...

– Skończcie to – odezwał się nowy, trzeci głos. Carter nadal widział niewyraźnie. Rozmówcy spierali się ponad nim. – Wyżyje?

– Tak.

Po chwili jeden z mężczyzn przykucnął naprzeciw strażnika.

– Słyszysz mnie? Rozumiesz?

Carter potrząsnął głową.

– Dość już powiedziano. Moi towarzysze niepotrzebnie wyklócali się przy tobie – mówiący na moment umilkł – dziesiętniku. Mam dla ciebie dwie ważne informacje. Rad byłbym, gdybyś je powtórzył swoim mocodawcom. Ale strach, który stosują byś im służył, może odwieść cię od tego. Musisz znaleźć odwagę.

Carter zadrzał. Nie rozumiał. Nadal miał przed oczami walące się mury, krew wyciekającą z wraku wozu patrolowego, macki, pioruny i błyski energii. Nie pojmował.

– Od dzisiaj wiele się zmieni. Usłyszycie o nas. Będziecie mieli wybór. Strach albo walka. – Mówiący miał spokojny, niski głos. – Vendaria zasługuje na prawdę i na wolność. My nie będziemy zmuszać, będziemy odpowiadać. Będziemy ukazywać i dawać szansę...

– Odzyskaj swój mózg, żywy trupie – warknął ten pierwszy głos. – Odzyskaj go i cholernie mocno trzymaj. Jest twój!

– Nie jesteśmy jedynymi, którzy się przebudzili. Istnieją mroczne siły, powrócili pradawni okrutnicy. Jeszcze kryją się w cieniu, ale niebawem przemówią. Ich moce są, niestety, często o wiele potężniejsze, niż nasze. A wy nie jesteście przygotowani, choć wasi ciemniacy twierdzą, że wiedzą wszystko – ponownie odezwał się spokojny głos. – Władcy Vendarii będą nas ścigać, ale my będziemy wam pomagać.

Zapadła cisza. Nieznajomi odeszli. Strażnicze syreny rozbrzmiały tuż obok.

Carter Den Helle zamrugał, deszcz siekał go w twarz. Szepnął słabo, gdy zaczęła ogarniać go słabość:

– Kim... Kim jesteście?

Vendaryjska Agencja Bezpieczeństwa, Dystrykt Północny, Memoria, 3.10. 60.

Działania operacyjne. Podsumowanie działań w związku ze zdarzeniem DS-45/KP-1/61.

Klauzula: Ścisłe Tajne. Poziom piąty.

(...) Wniosek 4: Zintensyfikowanie działań w ramach operacji „Krag Północny-1”. Rozszerzenie składu grupy śledczej Zwierciadło-1. Stanowisko niezależnego analityka operacyjnego. Przydział: agent specjalny Brion Kaspar Kroeger 5548798-23.

(...) Wniosek 12: Powiązania. Kontrolowanie i infiltrowanie działalności władz miasta Memoria, redakcji gazet codziennych (z naciskiem na „Strażnika Memorii”), rozgłośni radiowych oraz firm i kompanii handlowych (z naciskiem na korporację Blake&Nair).

(...) Wniosek 16: Sformowanie specjalnej grupy pościgowej. Działania w toku.

(...) Wniosek specjalny 2: Osobista opinia przywództwa Zwierciadła-1: (...) istnienie tak zwanych Zamaskowanych stanowi zagrożenie bezpieczeństwa publicznego oraz racji stanu. Operacja „Krag Północny-1” to najważniejsze wyzwanie stojące przed vendaryjskimi siłami bezpieczeństwa, od co najmniej czterech dekad. Od każdego obywatela oczekuje się współpracy i bezwzględnego podporządkowania się wytycznym.